

JERZY JEDLICKI
(4 VI 1930 — 31 I 2018)

Wydaje mi się, że pamiętam dokładnie ten moment, kiedy po raz pierwszy napotkałem nazwisko Jerzego Jedlickiego. Był rok 1981, wiosna. Stałem na przystanku na Marszałkowskiej koło Cepelii i czekałem na autobus do domu. Na przystanku był tłum, autobus nie nadjeżdżał. Udało mi się kupić w kiosku tygodnik „Solidarność”. Wzrok padł na felieton. Opowiadał w tonie groteski o narastaniu konfliktu społecznego, który doprowadza do interwencji wojskowej i czołgów na ulicach: „na ulicy za oknem coś dudni i chrzęści...”. Spojrzałem na nazwisko autora: Jerzy Jedlicki. Nic mi nie mówiło. Przypomniałem je sobie siedem miesięcy później, 13 grudnia¹.

Jerzy Jedlicki urodził się jako Jerzy Grossman w Warszawie 14 czerwca 1930 r. w rodzinie inteligenckiej. Rodziny zarówno ojca, jak i matki były pochodzenia żydowskiego, gruntownie spolszczone od kilku pokoleń. Ojciec, Wiktor Grossman, pochodził z Galicji, był inżynierem chemikiem, absolwentem politechniki lwowskiej. Matka, Wanda z domu Perlis, pochodząca z Łodzi, studiowała germanistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Z licznych wzmianek w wywiadach oraz z rozmów wyłania się obraz dzieciństwa spokojnego i szczęśliwego, spędzonego na warszawskim Mokotowie. Rodzina w latach trzydziestych przeszła na ewangelicyzm reformowany. Było to, jak wyjaśniał sam Jedlicki, naturalna droga asymilujących się rodzin polskich pochodzenia żydowskiego. Później, w czasie wojny, rodzina przeszła na katolicyzm.

W przeddzień wojny ojciec Jedlickiego został zmobilizowany, Jedlicki zaś z matką i bratem wyjechali do Lwowa, do rodziny ojca. Tam zastała ich okupacja radziecka. W 1940 r. przenieśli się — legalnie, w ramach łączenia rodzin — do Generalnego Gubernatorstwa, z nadzieją, że okupacja niemiecka będzie łagodniejsza od radzieckiej. Na granicznym moście w Przemyślu — opowiadał Jedlicki — oficer niemiecki zawołał żołnierza, aby pomógł nieść ciężką walizkę. Jego matka westchnęła z ulgą: a jednak, Europa. Przez dalsze lata wojny Jedlicki przypominał matce te słowa z gorzką ironią.

Okres okupacji po wyjeździe ze Lwowa rodzina, pod nowo przybranym nazwiskiem „Jedlicki”, spędzała w Warszawie. Jerzy Jedlicki opisał te lata w tekście opublikowanym pod nazwiskiem jego matki w wydany przez Władysława Bartoszewskiego i Zofię Lewinównę znanym tomie relacji dotyczących ratowania Żydów pod okupacją: *Ten jest z ojczyzny mojej* (1967). Brat Jerzego Witold i ich matka przeżyli okupację, ojciec, który ukrywał się osobno, zginął. Zginęła też, w Warszawie i we Lwowie, cała dalsza rodzina.

Po wojnie we troje osiedlili się początkowo w Łodzi. Tam Jerzy Jedlicki rozpoczął studia socjologiczne (1948). Z dużą częścią swojego pokolenia dzielił drogę prowadzącą od przedwojennego wychowania w duchu patriotycznym, przez przejście marksizmu, do zdecydowanego sprzeciwu wobec ideologii i praktyki komunizmu. Wstąpił do PZPR w 1952 r. Nigdy się nie poważyłem zadać mu pytania na ten temat. Kiedyś rozmawialiśmy o artykule Krystyny Kerstenowej, mówiącym o możliwości ewentualnej prowokacji u źródeł pogromu kieleckiego. Jedlicki powiedział mniej więcej coś takiego: Panie Maćku, jeśli pańskie pokolenie zada moim rówieśnikom kiedyś pytanie (a może użył ostrzejszego sformułowania: zażąda od nas wytłumaczenia? Nie pamiętam), dlaczego w młodości poparliśmy komunizm, to w moim przypadku kwestia pogromu kieleckiego będzie przy wyjaśnieniu miała kluczowe znaczenie. Znałem go wtedy jeszcze słabo, musiał to być koniec lat osiemdziesiątych, może początek dziewięćdziesiątych — nie ośmieliłem się ciągnąć problemu dalej.

Hanna Świda-Ziemba, koleżanka Jedlickiego ze studiów socjologicznych, wspominała po latach, mając na myśli Jedlickiego i jego towarzyszy — młodych marksistów: „Nie mogłam zrozumieć, jak tacy inteligentni ludzie mogą wierzyć w takie głupoty”². Nie wiem, czy nie nadinterpretuję, ale czasem mi się wydawało, że samego Jedlickiego też to później trochę dziwiło, jakby od czasu, kiedy opowiedział się zdecydowanie przeciw komunizmowi, sam musiał sobie wytłumaczyć swój dawny do niego akces. Kiedyś w rozmowie porównał obecnych radykalnych nacjonalistów z młodymi marksistami początku lat pięćdziesiątych; szczególnie niepokoiło go to samo upojenie: grupą, marszem, pieśnią bojową, które widział u niektórych swoich kolegów kilkadziesiąt lat temu.

Sądzę, że miał rację, gdy mówił do Magdaleny Bajer: „Nie marksizm mnie uwiódł”. Ze swoim przekonaniem, że myśl, świadomość, a także emocje i irracjonalność stanowią tak istotne czynniki w dziejach, nie nadawał się do przyjęcia ani nauki o bazie i nadbudowie, ani mechanicznego schematu automatycznego następowania po sobie kolejnych epok historycznych. Jego praca magisterska, przygotowana pod kierunkiem Niny Assorodobraj i obroniona w 1953 r., jest napisana obowiązującym wówczas slangiem, a zarazem wydaje się, jakby Jedlicki myślał „normalnym” językiem, a potem tłumaczył swoje przemyślenia na marksistowski żargon. Nietrudno dopatrzeć się w niej cech charakterystycznych dla jego późniejszego piarstwa. Przede wszystkim w samej tematyce: „Rozwój i położenie klasy robotniczej w przemyśle Królestwa Polskiego w latach 1864–1882. Przegląd literatury przedmiotu oraz próba zarysu problematyki badań”. Jedlickiego już wówczas, tak jak i w całej jego późniejszej pracy

naukowej, interesuje raczej rekonstrukcja sposobu myślenia ludzi niż przebiegu wydarzeń: bardziej opinie historyków o procesie industrializacji niż sam proces. We wstępie do pracy pisze: „Nie istnieje prawdziwe badanie naukowe bez oparcia o naukową teorię danego zakresu zjawisk”. Tylko teoria pozwala ustalić, co jest typowe „od chwili, w której przestało nas zadawałać statystyczne ujęcie typowości”. Każdy, kto zna późniejsze prace Jedlickiego, zobaczy tutaj niektóre z problemów, nad którymi będzie się zastanawiał przez całe życie: niewiarę, że zbadane fakty „same z siebie” ułożą się w spójny obraz i sceptycyzm co do potencjału wyjaśniającego badań kwantytatywnych.

Odejście od komunizmu w przypadku Jedlickiego dokonało się stosunkowo szybko. Dużą rolę w pozbyciu się złudzeń odegrała sprawa opisana niedawno przez Dominika Czapigę w „Karcie”³. Jedlicki znalazł w oficjalnym wydawnictwie źródłowym dotyczącym dziejów ruchu robotniczego fałszerstwa tekstów. Nie tylko tendencyjne komentarze do źródeł, ale zafalszowane same teksty źródłowe, których oryginały były mu znane z badań archiwalnych. Postanowił to ujawnić, nie w duchu krytyki systemu, przeciwnie — jako konstruktywną krytykę, do której wzywano na zebraniach partyjnych. Wkrótce się dowiedział, że konstruktywna krytyka ma swoje granice. Kilkakrotnie przerabiał swój tekst, dostosowując się do zaleceń redakcyjnych; tymczasem nadszedł Październik 1956 i Jedlicki ostatecznie zdecydował się wydrukować swój tekst w „Po Prostu”; został przyjęty przez redakcję, ale zatrzymany przez cenzurę i w efekcie nie ujrzał — aż do artykułu w „Karcie” — światła dziennego.

Zmianę postawy Jedlickiego wobec panującego w Polsce systemu w ciągu drugiej połowy 1956 r. można obserwować na przykładzie artykułów zachowanych w jego spuściźnie. Jeden z nich, z odręcną adnotacją autora: „niedrukowany, odrzucony przez «Trybunę Ludu» lipiec 1956”, zatytułowany „Partia a środowisko naukowe”, domagał się pełnej swobody badań naukowych. Rolą organizacji partyjnych w nauce może być tylko „tworzenie warunków, w których nauka mogłaby się rozwijać bez skrupowania, maksymalnie szybko i w najbardziej niezbędnych społecznie kierunkach”⁴. Autor pozostaje jeszcze w nurcie myślenia o reformie socjalizmu. Tymczasem kilka miesięcy później w również niepublikowanym artykule „Czy będziemy mieli naukową genealogię teraźniejszości?” był już, jak się zdaje, daleki od tych złudzeń, odrzucając samą koncepcję błędów i wypaczeń. Pisał: w czasach stalinowskich „nie było błędów, tylko bezwzględnie realizowany system założeń wychowania socjalistycznego”⁵. Widział więc, że to, co działo się w stalinizmie, nie było wypaczeniem systemu, lecz jego treścią.

Jedlicki wystąpił z PZPR w 1968 r. (później wyrzucał sobie, że nie zdecydował się w 1956), a w latach siedemdziesiątych włączył się aktywnie w działalność opozycyjną, przede wszystkim w tzw. uniwersytecie latającym i Towarzystwie Kursów Naukowych. Prowadził prywatne domowe seminarium z historii idei. Aktywność publiczną w okresie Solidarności (1980–1981) przyplacił internowaniem (grudzień 1981 — lipiec 1982).

Wróćmy do przebiegu pracy badawczej. Promotorem rozprawy doktorskiej (obronionej w 1961 r.) był Witold Kula. Wywarł on na Jedlickiego wielki wpływ,

który dostrzec można raczej w pewnym ogólnym podobieństwie podejścia do przeszłości niż w bliskości zainteresowań badawczych. Praca doktorska została opublikowana pod tytułem *Nieudana próba kapitalistycznej industrializacji* (1964). Jeszcze wyraźniej widać w niej to, co w załączku tkwiło w twórczości Jedlickiego od początku: zainteresowanie nie tylko tym, jak funkcjonuje badana instytucja (w tym wypadku zakład przemysłowy), ale przede wszystkim tym, co myślą ludzie: jak podejmują decyzje inwestycyjne, jaki jest ich obraz świata, ich wyobrażenie o perspektywach rozwojowych. Główna teza rozprawy zawarta jest w tytule: industrializacja, podjęta przez władze Królestwa Polskiego w latach dwudziestych i prowadzona do lat czterdziestych XIX w. (akurat w tej polityce inwestycyjnej powstanie listopadowe nie stanowi istotnej cezury) nie powiodła się. Nie powiodła się dlatego, że błędnie zostały odczytane kierunki i perspektywy rozwoju gospodarczego. Zdecydowano się na energię wodną zamiast parowej, na siłę roboczą przymusową (skierowanych do fabryk chłopów pańszczyźnianych) zamiast robotników najemnych, na stare technologie produkcji... W efekcie zakłady przemysłowe działały tak długo, jak długo trwały finansowanie przez Bank Polski; natychmiast po zaprzestaniu finansowania doszło do bankructwa. „Żaden rząd bowiem nigdy dobrym przemysłowcem nie był i nie będzie” — cytował Jedlicki zdanie Bolesława Prusa. To oczywiście na początku lat sześćdziesiątych musiało być odczytane jako stwierdzenie o charakterze politycznym. Jedlicki wspominał, że cenzura nie miała obiekcji do powyższego zdania Prusa w treści książki, natomiast nie pozwoliła, aby zacytował je w zakończeniu pracy, jako podsumowanie jej głównej myśli. W wydawnictwie zasugerowano też Jedlickiemu zmianę tytułu: dodania przymiotnika „kapitalistycznej” do oryginalnego autorskiego tytułu „Nieudana próba industrializacji”, aby nikt nie miał żadnych skojarzeń ze współczesnością. Pod tym też tytułem książka się ukazała, choć — jak mówił później Jedlicki — właściwie przecież analizowana w książce próba industrializacyjna nie była kapitalistyczna, lecz, jeśli można się tak wyrazić, „feudalna”: oparta nie na kapitalistycznych lecz prekapitalistycznych założeniach i metodach działania, i właśnie ta słabość elementu kapitalistycznego przesądziła o jej klęsce.

Obok problemu efektywności odgórnych działań modernizacyjnych, jeszcze drugi problem naukowy odgrywa w tej książce ważną rolę. Czy polityka przemysłowa władz Królestwa Polskiego, niezależnie od swojej racjonalności ekonomicznej, odegrała jakąś rolę w modernizacji Polski na dłuższą metę? Czy na przykład elementy wytworzonej wówczas infrastruktury wspomagały w jakiś sposób dalszy rozwój kraju? Jedlicki jest sceptyczny. Nie bardzo wierzy, by w Polsce dokonywała się przez dłuższy czas stopniowo akumulacja pierwotna kapitału; sądzi raczej, że poszczególne procesy akumulacji marnowały się i następnym razem trzeba było zaczynać od początku.

Kolejna praca, *Klejnot i bariery społeczne* (1968), była już w o wiele większym stopniu pracą z historii wyobrażeń niż z historii gospodarczo-społecznej. Dotyczyła przemian szlachectwa polskiego w drugiej połowie XVIII i w pierwszej połowie XIX w. Jedlicki starał się w niej uchwycić kluczowy moment przemiany:

jak społeczeństwo nowoczesne wytwarza się w sytuacji, w której normy opisu, rozumienia struktury społeczeństwa są jeszcze stanowe? Jak zmienia się pojęcie szlachectwa w tym kluczowym momencie przemian społecznych?

Krystyna Zienkowska zwróciła uwagę na interesujący problem obecny w pracy. Jedlicki przedstawia akcję nobilitacyjną w czasie sejmu czteroletniego jako element królewskiego programu reform: szerokie otwarcie stanu szlacheckiego na nowych ludzi, przede wszystkim spośród mieszczaństwa, miało osłabić bariery stanowe i w ten sposób przyczynić się do modernizacji polskiego społeczeństwa. Zienkowska zaoponowała: instytucje stanowe doskonale znoszą napływ nowej krwi tak długo, jak długo sama zasada stanowości nie zostanie podważona. Napływ rzutkich i przedsiębiorczych mieszczan do stanu szlacheckiego wzmacnia ten stan, osłabia zaś mieszczaństwo, wysysając zeń najzdolniejsze jednostki⁶. Jedlicki nie podjął, o ile wiem, polemiki. Wspominam o tej różnicy zdań dlatego, że ukazuje ona na jednym przykładzie możliwości dalszego rozwijania badanych w pracy problemów.

Od roku akademickiego 1982/1983 Jedlicki, zwolniony z internowania, rozpoczął, na zaproszenie ówczesnego dyrektora Instytutu Historycznego UW, Antoniego Mączaka, cykl wykładów dla studentów, poświęcony głównie problemom roli emocji zbiorowych w historii. W roku 1988 ukazała się najważniejsza może książka Jedlickiego — *Jakiej cywilizacji Polacy potrzebują. Studia z dziejów idei i wyobraźni XIX wieku*. Wyobraźnia jako temat badania historycznego — już samo to było wówczas na gruncie polskim rzeczą nowatorską. Książka opowiada o polskich postawach wobec modernizacji i kapitalizmu. Ważna, wówczas zupełnie niemal niezbadana tematyka, aktualna zarówno w czasie publikacji książki, jak i po dziś dzień; refleksyjny, unikający łatwych uogólnień sposób analizy; kunsztowny, bardzo przemyślany, choć nie zawsze łatwy w lekturze styl pisarski; umiejętne operowanie emocjami, zarówno sentymentem, jak i ironią; doskonały dobór cytatów, opatrzonych trafnymi komentarzami — te cechy decydują o tym, że mamy do czynienia z pracą klasyczną, od lat przemawiającą zarówno do fachowych historyków, jak i do szerszego grona czytelników.

W moim przekonaniu ujmującą cechą tej książki, jedną z tych, które decydują o jej wartości, jest umiejętność życzliwego wysłuchania różnych racji. Jedlicki nie jest „obiektywny” w tym sensie, żeby miał się powstrzymać od sądu. Widać, że kocha warszawskich pozytywistów — jak się wyraził z życzliwą ironią Stefan Kieniewicz w (bardzo pochwalnej) recenzji na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Ale zarazem, dając wyraz swoim poglądom, rozumie poglądy odmienne: i konserwatystów, obawiających się zmian, i socjalistów, niecierpliwie dążących do zmian jak najradzykalniejszych. Uważa za atut sam fakt istnienia debaty publicznej — sporów „o zwiewny kształt nadziei, bez której spokorniały naród martwieje w jałowiźnie powszedniej egzystencji” — jak brzmią ostatnie słowa pracy.

Książka utrafiła w swój czas: choć napisana w latach siedemdziesiątych, a oddana do wydawnictwa w 1982 r. (i przetrzymana z powodów cenzuralnych), okazała się aktualna właśnie w momencie jej publikacji, kiedy, pod koniec lat

osiemdziesiątych, przed Polakami stanęła konieczność określenia się wobec kolejnej wielkiej fali modernizacji, pod wieloma względami podobnej do tych, które budziły przestroch, entuzjazm, nadzieję czy dystans u bohaterów książki Jedlickiego. Stała się więc obiektem licznych recenzji i dyskusji, w których wiek dziewiętnasty mieszał się z dwudziestym.

Owo mieszanie się historii ze współczesnością jest bardzo charakterystycznym wrażeniem, które powstaje przy lekturze prac Jedlickiego. Jest oczywiste, że pisał on książki historyczne, z zamiarem zrozumienia i objaśnienia problemów epoki, którą się zajmował (a więc w większości jego prac tzw. długiego wieku dziewiętnastego). Mówił kiedyś, że nie musimy już, po upadku komunizmu, pisać o współczesności pod pozorem pisania o przeszłości. Natomiast pewne zjawiska, wzorce myślenia, mogą się powtarzać — od Lancashire po Nową Gwineę, jak pisał we wstępie do *Jakiej cywilizacji* — i na to powtarzanie, na swoisty rytm dziejów, historyk powinien zwrócić uwagę. Nie ma to nic wspólnego z aktualizowaniem przeszłości na siłę. Owo spojrzenie „ponadpokowe” charakterystyczne jest nie tylko dla *Jakiej cywilizacji*, ale dla całości jego twórczości — począwszy od pracy doktorskiej, aż po jego ostatnią większą pracę, drugi tom *Dziejów inteligencji polskiej*, w której obraz dramatycznego dochodzenia do fatalnej decyzji o rozpoczęciu powstania narodowego w styczniu 1863 r. nie może nie nasuwać analogii — której Jedlicki był świadom — z decyzją o rozpoczęciu powstania warszawskiego.

Po *Jakiej cywilizacji* planował dalszy ciąg, który dotyczyłby analogicznych debat w okresie kryzysu pozytywizmu, *fin de siècle'u* i Młodej Polski. Mówił kiedyś, że w dużym stopniu przygotowany ma rozdział o debatach wokół *Nędzy Galicji w cyfrach* Stanisława Szczepanowskiego. Jednak polskie dyskusje wokół cywilizacji zachodniej były tak mocno osadzone w kontekście europejskiego kryzysu pozytywizmu, że Jedlicki postanowił więcej miejsca poświęcić owemu ogólnoeuropejskiemu kontekstowi debat o kryzysie cywilizacji. W efekcie dalszy ciąg *Jakiej cywilizacji* nigdy nie powstał (niestety!), a za to otrzymaliśmy książkę *Świat zwyrodniał*, poświęconą właśnie debatom o kryzysie w kulturze europejskiej. Jest to książka mniej koherentna niż poprzednie; jej główny zrąb, ponad połowę tekstu, stanowi studium *Degeneracja po angielsku*, poświęcone brytyjskim debatom o kryzysie; reszta pracy składa się z kilku mniejszych szkiców o podobnej tematyce (częściowo publikowanych już uprzednio), w odniesieniu do spraw polskich, częściowo niemieckich i francuskich. Spójność tematyki nadaje książce jednolity charakter, tak że niejednolitość struktury nie szkodzi w lekturze. Morał ogólny jest podobny jak w poprzedniej pracy — sam fakt debaty o kryzysie jest wartością, a jeśli krytycy nowoczesności przesadzali, to przynajmniej niektóre z ich tragicznych prorocत्व nie spełniły się dlatego, że były wypowiedziane, a społeczeństwo, ostrzeżone, mogło podjąć kroki zaradcze.

Wreszcie ostatnia większa praca Jedlickiego — redakcja trzynomowych *Dziejów inteligencji polskiej*, w których on sam napisał tom drugi, zatytułowany *Błędne koło*, obejmujący lata 1832–1864 (tom pierwszy był mojego autorstwa, tom trzeci napisała nasza koleżanka z pracowni, Magdalena Micińska). Przez wiele lat,

a nawet dziesiątków lat trwały badania nad historią inteligencji, wywodzące się ze sformułowanego przez Witolda Kulę i jego współpracowników programu badania dziejów struktur społecznych w Polsce, a kontynuowane przez wieloletnią kierowniczkę Pracowni, zaprzyjaźnioną z Jedlickim Ryszardę Czepulis-Rastenis. Profesor Czepulisowa zgromadziła wokół Pracowni Dziejów Inteligencji krąg badaczy zainteresowanych tematem; na zebrania przychodzili m.in. Barbara Petrozolin-Skowrońska, Barbara Konarska, okazjnie Andrzej Szwarz, Wiesław Caban i wielu innych. Powstało kilka tomów zbiorowych, poświęconych dziejom inteligencji, trzy ważne prace samej kierowniczki Pracowni, a także liczne studia badaczy w taki czy inny sposób związanych z Pracownią. Jedlicki uważał zwieńczenie tych badań pracą syntetyczną za powinność wobec swej nieżyjącej już wtedy poprzedniczki. Obowiązki redaktora tomu traktował bardzo sumiennie, dyskutował z pozostałymi autorami wielokrotnie plan pracy, przed przystąpieniem do pisania książki zredagował i opublikował tom o badaniach dziejów warstw wykształconych w różnych krajach europejskich.

Jednym z założeń Jedlickiego była poważna modyfikacja dotychczasowego paradygmatu badawczego. Ważna książka Ryszardy Czepulis-Rastenis, *Klasa umysłowa*, była analizą kwantytatywną inteligencji w Królestwie Polskim w okresie międzypowstaniowym. Otworzyła ona drogę wielu podobnym pracom, starającym się w oparciu o akta urzędowe ustalić liczebnie strukturę społeczną warstw wykształconych. Jedlicki był sceptyczny. Nie wierzył, że niekompletne dane dziewiętnastowiecznych archiwów mogą być z pożytkiem poddane kwantyfikacji. Zdawał sobie jasno sprawę, że nie da się nigdy kryteriów teoretycznie wypracowanych zastosować do materiału historycznego, bo zastosowanie takie ma większy czy mniejszy element dowolności; że nie ma wielkiego sensu stosowanie operacji statystycznych na bardzo niewielkich zespołach danych, i to takich, które nie są reprezentatywne dla całości społeczeństwa (bo zachowane źródła nie są reprezentatywną próbą losową całego niegdyś wytworzonego zasobu źródłowego). W efekcie, nie negując potrzeby kwantyfikacji tam, gdzie jest ona możliwa, sceptyczne zapatrywał się na potencjał takiego podejścia dla zrozumienia procesów społecznych w polskim XIX w. Poglądy na ten temat zawarł m.in. w artykule *Historia struktur społecznych. Obrona i krytyka*, opublikowanym w „Dziejach Najnowszych”⁷⁷, i nie zmienił ich do końca życia, a może nawet je nieco zradykalizował. Mówił kiedyś, że rozkwit badań ilościowych w socjologii, jaki miał miejsce po II wojnie światowej, przyczynił się do kryzysu tej dyscypliny: pytania ważne zostały zastąpione przez pytania, na które da się odpowiedzieć za pomocą kwantyfikacji. Sądzę, że trafnie napisał Adam Kożuchowski, iż Jedlicki, zwłaszcza w późniejszym wieku (ale w gruncie rzeczy chyba od początku) — „dusił się w gorsecie «unaukowienia»”⁷⁸. Coraz bardziej fascynowały go takie problemy, na które nie da się dać „scjentyistycznie” poprawnej odpowiedzi.

Z drugiej zaś strony nie chciał przyjąć postmodernistycznego spojrzenia, które zrównuje wszystkie narracje o przeszłości, a jeśli widzi gdzieś jakieś perspektywy badawcze, to w badaniu języka — tak, że można pisać o przemianach

rozumienia pojęcia inteligencji, ale nie o historii grupy społecznej tym mianem określanej. Jedlicki przywiązany był do „obiektywistycznej” wizji historii. Zdawał sobie sprawę, że dojście do obiektywnej prawdy jest niemożliwie, mówił kiedyś na jednym z wykładów, że jest rzeczą naturalną, iż dwóch równie wykwalifikowanych historyków, mając do dyspozycji te same źródła, wyciągnie z nich odmienne wnioski. Zarazem jednak nie miał wątpliwości, że dążenie do prawdy historycznej pozostaje zadaniem historyka — nawet jeśli jest to zadanie niewykonalne. Starał się utrzymać dystans zarówno od scjencystycznej utopii, jak i od postmodernistycznego nihilizmu poznawczego.

W moim osobistym przekonaniu najważniejszą częścią *Błędnego koła* są dwa ostatnie rozdziały, poświęcone okresowi od 1856 do 1864 r.; w mistrzowski sposób przedstawiają one tragiczną historię okresu, zaczynającego się wielkimi nadziejami na liberalizację i otwarcie możliwości rozwojowych, a zakończzonego tragiczną klęską powstania, która powstrzymała na długo rozwój cywilizacyjny Polski. Jedlicki mówił, że w tej części pracy zamierzał przedstawić obraz alternatywny wobec obrazu nakreślonego przez najwybitniejszego znawcę tej problematyki, Stefana Kieniewicza, w jego *Powstaniu styczniowym*. Nie wierzył w argumentację, która dalekimi korzyściami (korzystniejsze dla chłopów warunki uwłaszczenia niż w innych zaborach, szybszy rozwój kapitalizmu w Królestwie niż w Galicji) *ex post* usprawiedliwiałaby wywołanie powstania; uważał taki typ argumentacji jedynie za krzepiącą, lecz niczym nieuzasadnioną racjonalizację tragicznego błędu.

Eseje i krótsze szkice stanowiły dla Jedlickiego równie ważną formę wypowiedzi, jak książki. Pomijam tu prace publicystyczne, głównie z lat dziewięćdziesiątych XX w., przede wszystkim na łamach „Gazety Wyborczej”, czasem także i „Tygodnika Powszechnego”. Spośród licznych artykułów wymienię tylko kilka, w porządku chronologicznym: obszerny artykuł recenzyjny *Wokół Tyzenhauza. Stanisława Kościatkowskiego opus vitae*⁹. Jedlicki przedstawił w tym tekście problem, który poruszał wielokrotnie: na ile z samej szczegółowości badania może wynikać obraz ogólny. Zawsze ilekroć do tego wracał, dochodził do wniosku, że sama szczegółowość badania, bez jakiejś ogólnej koncepcji, nie pozwoli na przedstawienie przeszłości, a nadmiar szczegółowych niepowiązanych faktów tylko utrudni zrozumienie. Postawił fundamentalne pytanie, być może kluczowe dla jego refleksji o metodzie pracy historyka: „Czy wszystko, co o czymkolwiek wiedzieć można, wiedzieć warto?”. Nie dał w tekście odpowiedzi, ale nie ulegał wątpliwości, że brzmiała ona: „nie”. Na jakimś zebraniu powiedział, że nie jest przypadkiem, iż najważniejsze, po dziś dzień zmuszające do refleksji syntezy dziejów Polski powstały w XIX w. Ich autorzy nie znali jeszcze tyłu co my faktów szczegółowych, mogli więc budować interesujące koncepcje syntetyczne. Jest bowiem złudzeniem, że synteza powstać może indukcyjnie z nagromadzenia wiedzy szczegółowej. Jest odwrotnie: zadaniem syntezy jest wytyczać kierunki przyszłych badań szczegółowych.

O kilkanaście lat późniejszy jest może najważniejszy esej Jedlickiego, *Dziedzictwo i odpowiedzialność zbiorowa* (1988). Myśl jest w zasadzie prosta: dziedziczy

się przeszłość w całości i nie da się dziedziczyć wyłącznie pozytywnych tradycji. Owa odpowiedzialność zbiorowa jest — Jedlicki zdaje sobie z tego sprawę — pojęciem podejrzanym dla liberałów, uznających jedynie odpowiedzialność indywidualną. Chodzi tutaj jednak — wyjaśniał — o odpowiedzialność szczególną, „odpowiedzialność bez winy i kary”. Jeśli przyjmujemy spadek z ciążącymi na nim długami, to nie jesteśmy w żaden sposób moralnie winni z powodu owych długów, co nie zmienia faktu, że jesteśmy zobowiązani do ich uregulowania. Analogicznie, ewentualne zło dokonane przez poprzednie pokolenia członków grupy, do uczestnictwa w której się poczuwamy (naród, wyznanie, partia polityczna, pewnie też warstwa społeczna) nie obciąża nas moralnie, ale nakłada na nas moralny obowiązek przynajmniej uznania tego zła i nazwania go po imieniu, a jeśli można, to i zadośćuczynienia. Jedlicki był przekonany, że takie rozliczenie z przeszłością może stać się moralnym *katharsis* i pozwoli na szczere i trwałe pojednanie z dawnymi przeciwnikami.

Tekst ten widzieć należy w kontekście atmosfery intelektualnej drugiej połowy lat osiemdziesiątych, kiedy stosunkowo liberalna cenzura pozwalała na szersze niż dawniej dyskusje o problemach przeszłości z odniesieniami do kwestii współczesnych. Można go porównać do sławnego tekstu Jana Błońskiego *Biedni Polacy patrzą na getto* czy też z mniej znanymi wypowiedziami Stefana Swieżawskiego o potrzebie rehabilitacji Jana Husa przez Kościół katolicki. Tekst Jedlickiego wywołał wiele dyskusji — może najwięcej z jego różnych artykułów. Jest więc ciekawe, że z czasem częściowo zmienił on zdanie na ten temat. W latach dziewięćdziesiątych, kiedy coraz ostrzejsze debaty o przeszłości groziły zaostrzeniem konfliktów między narodami i między grupami społecznymi, Jedlicki doszedł do wniosku, że może zbyt idealistyczne jest założenie, iż jedynie wewnętrzne przepracowanie win zbiorowych może być warunkiem pojednania. Uznał, że pewne zdystansowanie się od przeszłości, od zbiorowych nieszczęść — nie zapomnienie ale zdystansowanie się — może być bardziej praktycznym środkiem przewyciężenia wrogości między narodami. Poglądom tym dał wyraz w tekście *Historical Memory as a Source of Conflicts in Eastern Europe*¹⁰. Szkic ten, o wiele mniej znany niż *Dziedzictwo i odpowiedzialność zbiorowa*, stanowi ważne uzupełnienie i częściową korektę wcześniejszego eseju.

Wreszcie jeden z ostatnich większych szkiców Jedlickiego: *Kompleksy i aspiracje prowincji*¹¹. Jest to próba syntetycznego przedstawienia peryferyjnego charakteru Polski przez całe tysiąclecie. Szkic ten nie jest wolny od uproszczeń (interesujący komentarz do tego tekstu napisał Larry Wolff¹²); a zarazem frapujący przez przedstawienie pewnej ogólnej interpretacji całości narodowych dziejów. Miałem wrażenie, że Jedlicki w pewnym momencie myślał o rozbudowie tego szkicu w większy tekst (może nawet książkę?), ale choroba pokrzyżowała te zamiary, o ile istniały.

Jedlicki daleki był od prostolinijnej wiary w postęp; sądził, że dzieje są otwarte i nie da się ich przewidzieć. Natomiast równie daleki był od historyzoficznego pesymizmu; uważał, że zmiana na lepsze jest możliwa (choć niczym nie zagwarantowana). Pewne konsekwencje takiego sposobu myślenia widać,

jak sędzę, w omawianym tekście. Zacofanie jest rzeczywistością, a nie (jak sądzą postmoderniści) elementem dyskursu przemocy. Jedlicki nie był zwolennikiem podejścia postkolonialnego. Nie uważał przejmowania wzorców z Zachodu za formę neokolonialnego podporządkowania, lecz za szansę dla krajów zacofanych. Kiedyś powiedział żartem: „jedyną rzeczą gorszą niż wyzysk człowieka przez człowieka jest brak wyzysku człowieka przez człowieka”. Była to oczywiście kpina z języka komunistycznej propagandy, ale była w tym myśl głębsza, ta sama, którą wyrażał Immanuel Wallerstein w swoim *The Modern World-System*: w systemie międzynarodowych zależności nawet region peryferyjny, zależny od wyżej rozwiniętego centrum, nie jest bez szans; bo region peryferyjny wewnątrz systemu światowego ma szansę przy pewnym szczęściu stać się z biegiem czasu częścią centrum (przypadek Anglii), natomiast region pozostający poza systemem zależności szans tych nie posiada. Myślę, że podobne, choć bardzo skróto sformułowane, było stanowisko Jedlickiego w omawianym wyżej tekście. Szkoda, że nie miał możliwości rozwinąć bardziej szczegółowo tej problematyki.

Nie sposób nie wspomnieć o ogromnym znaczeniu, jakie przywiązywał do formy swoich prac. Historyk pracuje w słowie, jak rzeźbiarz w marmurze — mówił. Co za tym idzie, bez talentu literackiego nie można być dobrym historykiem; nie da się oddać niuansów, przekazać w odpowiedni sposób swojego stanowiska. Nie przedstawił nigdy, o ile wiem, rozbudowanego teoretycznego uzasadnienia swego przekonania o kluczowej roli literackiej formy w pracy historyka. Sędzę, że przede wszystkim chodziło o zdolność właściwego oddania myśli oraz ułatwienie odbiorcy percepcji, tak, aby umożliwić czytelnikowi wytworzenie sobie syntetycznego obrazu problemu. Kiedyś zapytałem go, jaki element pracy historyka lubi najbardziej: czy zbieranie materiałów źródłowych, czy lekturę opracowań, czy analizę i interpretację materiału? Odpowiedział bez wahania: pisanie. Ten moment, kiedy myśli w głowie krystalizują się, nabierają struktury i kształtu, przetwarzają się w napisany tekst.

Sidney Lee, współtwórca angielskiego *Dictionary of National Biography*, napisał kiedyś, że najważniejszym zadaniem biografii jest „to transmit a personality”. W wypadku osobowości tak mocnej jak Jedlicki ta formuła wydaje się szczególnie trafna. Książki i artykuły pozostaną, będzie można zawsze do nich wracać; człowiek został jedynie w pamięci tych, którzy go znali, i to człowiek, bardziej niż badacz, domaga się upamiętnienia. Jedlicki oddziaływał rozmową, całym stylem zachowania, nie mniej niż słowem pisanim. Jego wykłady były dramatycznym monologiem, może nawet rodzajem monodramu, w który wkładał cały swój talent i emocje. Emanował entuzjazmem i energią. Nigdy nie popadł w rutynę, zawsze serio podchodził do wszystkich problemów. Jest czasem tak, że prelegent albo autor książki mówi lub pisze coś, bo tak wypada, albo dlatego, że bezrefleksyjnie przejął jakieś frazy czy idee z przeczytanych książek. Jedlicki takich zachowań — nawet nie chcę powiedzieć „nie tolerował”, chyba po prostu nie rozumiał. Dla niego nie było „bezrefleksyjnych” słów, ocen czy formułek.

Na jednej z dyskusji w Zakładzie Historii Idei i Dziejów Inteligencji IH PAN jesienią 2018 r. Jerzy Borejsza porównał Jedlickiego do Franca Fiszera,

legendarnej postaci warszawskiego życia kulturalnego i towarzyskiego lat międzywojennych. Nie sądzę, aby Jedlickiego obrażało to porównanie. Oczywiście z tym zastrzeżeniem, że był to taki Franc Fiszer, który nie tylko oddziaływał rozmową, ale także pisał i publikował. Na zebraniach Pracowni Dziejów Inteligencji czy na wspólnych zebraniach zakładu (wspólnie z pracownią kierowaną przez Janusza Żarnowskiego) Jedlicki włączał się chętnie w dyskusję i na ogół przekształcał swym wystąpieniem całą perspektywę zjawiska, tak jak widzieli ją inni uczestnicy. Ale biada prelegentowi, jeśli nudził, albo gadał (lub co gorsza czytał z kartki) głupoty. Jedlicki nic nie mówił, czasem ukrywał twarz w dłoniach, czasem prychał; wreszcie wstawał i wielkimi krokami przemierzał przestrzeń od drzwi do okna i z powrotem, w wąskim przejściu między krzesłami a ścianą, za plecami zgromadzonych. Trzymał ręce w kieszeniach rozpiętego swetra, albo zaczynał jeść wyjętą z torby kanapkę. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak to się działo, że nieszczęsny prelegent nie zapadał się wtedy pod ziemię; że nie rozstępowała się pod nim podłoga, albo przynajmniej że nie płonął żywym ogniem.

A później Ryszarda Czepulis-Rastenis przeszła na emeryturę i Jedlicki objął po niej kierownictwo Pracowni Dziejów Inteligencji. Nigdy nie miał ambicji administracyjnych i bardziej mu odpowiadała rola zwykłego pracownika. Uznał jednak, że winien jest swej poprzedniczce dokończenie jej prac. Zreorganizował tryb zebrań pracowni. Sam już zapraszał prelegentów i nudziarzy przestali się pojawiać. Zebrania Pracowni Dziejów Inteligencji stały się wydarzeniem: najwybitniejsi przedstawiciele polskiej humanistyki zjawiali się w piątki równo o godzinie dziesiątej w Sali Kościuszkowskiej Instytutu Historii PAN, a jeśli tłum był zbyt wielki — zebranie przenosiło się do Sali Lelewelowskiej. Jedlicki zawsze prowadził, pilnował porządku podczas dyskusji, przerywał, gdy ktoś mówił zbyt długo, irytował się, kiedy ktoś gadał nie na temat...

A zarazem, budząc respekt i bojaźń wśród współpracowników, potrafił — właściwie nie wiem, w jaki sposób, bo wydaje się to wewnętrznie sprzeczne — wprowadzić w pracowni porządki w pełni demokratyczne, takie, w których doktorant i profesor mówią w dyskusji na równych prawach i są tak samo uważnie wysłuchiwani. Było to dla mnie, a chyba i dla moich kolegów też, czymś tak oczywistym, że z wielkim zdziwieniem, już jako „dorośli” historycy, zauważyliśmy, że w życiu naukowym bynajmniej nie jest to regułą. Ów naukowy demokratyzm płynął, jak sądzę, z dwóch źródeł. Po pierwsze, z autentycznego szacunku dla współpracowników; po drugie, z ciągłego zainteresowania nowymi i odmiennymi punktami widzenia. Jedlicki przeżywał wątpliwości, ciągle się zastanawiał nad trafnością przyjętych przez siebie rozwiązań i koncepcji; stąd też chętnie słuchał innych. O tych wahaniach i wątpliwościach bardzo ciekawie mówi piękna książka Marcina Kuli *Jerzy Jedlicki, historyk nietypowy*, do której można odesłać czytelnika¹³.

Na zebraniach występowali liczni historycy spoza naszej pracowni: Jacek Banaszkiewicz, Stanisław Bylina, Marcin Kula, Antoni Mączak, Andrzej Nowak, Janusz Tazbir — specjaliści od wszelkich epok i problemów, bo Jedlicki uważał, że historyk nie powinien ograniczać się do „swojej” epoki. Mówili też najwybitniejsi

przedstawiciele humanistyki: Bronisław Baczko, Bohdan Cywiński, Norman Davies, Maria Hirszowicz, Maria Janion, Ryszard Kapuściński, Antonina Kłoskowska, Jacek Kochanowicz, Leszek Kołakowski, Ireneusz Krzemiński, Hanna Świada-Ziemia, Andrzej Walicki, Piotr Wandycz, Alina Witkowska. Najbardziej tłumna była wielogodzinna dyskusja o książce Jana Tomasza Grossa *Sąsiedzi*, kiedy sala Lelewełowska nabita była ludźmi do granic możliwości, z udziałem autora, Marka Edelmana, i wielu innych. Krzyżowały się najróżniejsze oceny, emocje dochodziły zenitu. Jeśli nawet nie było to naukowo najważniejsze zebranie w dziejach pracowni (symptomatyczne, że zapamiętałem atmosferę raczej niż konkrety), z pewnością było najbardziej emocjonalne, miało też pewne znaczenie społeczne jako ważny element wielkiej debaty wokół książki Grossa.

Budził treść, nie tylko we mnie. A zarazem, jakkolwiek brzmiałoby to patetycznie, może na łamach „Kwartalnika Historycznego” niestosownie, był — czego chyba na pierwszy rzut oka nie było widać — niezwykle dobrym człowiekiem. Był życzliwy ludziom, pomagał wielu osobom wytrwale i taktownie, był wierny przyjaciółom w cierpieniach i kłopotach.

Warto też parę słów poświęcić jego relacjom z „Kwartalnikiem” — relacjom, które określić można konwencjonalnym słowem „niełatwe”. Jedlicki był przez wiele lat członkiem jego Komitetu Redakcyjnego, lecz w pewnym momencie zrezygnował. Odbił ze mną dłuższą rozmowę, kiedy dostałem od ówczesnego redaktora, Wojciecha Kriegseisena, jakieś piętnaście lat temu, propozycję wejścia do redakcji. Nie był entuzjastyczny. Przedstawił mi swój pogląd na „Kwartalnik” i pokazał mi kartkę z notatką — liniowaną brystolową fiskkę wielkości kartki zeszytowej, taką, na jakich zawsze robił notatki, czarnym długopisem, równym, eleganckim, drobnym pismem, jakim nie umięją już pisać ludzie mojego pokolenia. Zapisał na niej swoje uwagi pod adresem czasopisma — była to notatka przed wystąpieniem na posiedzeniu Komitetu Redakcyjnego „Kwartalnika Historycznego”. Pożyczył mi ją do domu, abym mógł się z nią zapoznać — przeczytałem, oddałem, nie zrobiłem sobie z niej notatek, czego żałuję. Z pewnością leży gdzieś w spuściźnie Jedlickiego w ośrodku „Karta”, jak igła w stogu siana, ale nie udało mi się jej tam znaleźć. Mogę więc odtworzyć jego poglądy tylko z pamięci, nie umięjąc oddzielić tego, co mówił, od tego, co wyczytałem z kartki.

Mówił, że przez wiele lat starał się przekonać redakcję „Kwartalnika Historycznego”, że sposób prowadzenia czasopisma powinien zostać zmieniony. Czy każdy numer jest wydarzeniem? Czy ludzie pytają się nawzajem: „widziałeś już ostatni «Kwartalnik»”? Oczywiście nie. „Kwartalnik Historyczny”, zdaniem Jedlickiego, utrzymuje porządną poziom naukowy, redakcja nie puszcza do druku tekstów słabych — ale to nie wystarczy. Rolą najważniejszego czasopisma naukowego w dziedzinie historii jest ukazywanie nowych perspektyw badawczych, prowadzenie, a nie odzwierciedlanie stanu nauki. Jedlicki uważał, że przyczyną takiego stanu rzeczy jest brak redaktora: na jego czele powinien jego zdaniem stać ktoś taki jak Jerzy Giedroyc w „Kulturze” albo Jerzy Turowicz w „Tygodniku Powszechnym” — człowiek pełen zapału, talentu organizacyjnego, o jasnych

poglądach, a nade wszystko taki, dla którego redagowanie pisma będzie celem życia; który dla „Kwartalnika” wyrzeknie się swoich innych ambicji naukowych czy zawodowych.

Jedlicki spróbował kiedyś porównać „Kwartalnik Historyczny” z innymi „flagowymi” narodowymi czasopismami historycznymi — z „Revue Historique” czy „English Historical Review” — i doszedł do wniosku, że nie odbija on od nich wcale na niekorzyść. Wszystkie one mają te same wady, to znaczy publikują teksty co najmniej niezłe, czasem bardzo dobre, ale niepowiązane żadną myślą redakcyjną. Na łaskę w jego oczach zasłużył jedynie „American Historical Review” jako redagowany w sposób świadomy, realizujący pewną wizję historii problemowej, szeroko zakrojonej, otwartej na dyskusję. Takim chciał widzieć również „Kwartalnik Historyczny”; a kiedy jego wypowiedzi podczas posiedzeń Komitetu Redakcyjnego kilkakrotnie spotykały się z rzeczowymi wyjaśnieniami redaktorów, dlaczego nic się nie da zmienić, zrzekł się członkostwa Komitetu.

Czy taki program był realny? Po prawie piętnastu latach doświadczenia w redakcji „Kwartalnika”, kusi mnie, by odpowiedzieć: „oczywiście nie”. Można też zadać inne pytanie: czy taki obraz czasopisma naukowego, jaki wymarzył sobie Jedlicki, jest właściwym wzorcem dla „ogólnohistorycznego” czasopisma? Czy nie jest tak, że prowadzić naukę historyczną ku nowym horyzontom mogą pisma wyrażające poglądy jakiejś grupy historyków, takie, jakimi w różnych okresach były np. „Annales” czy „Past & Present”, zaś pismo ogólnohistoryczne, jak „Kwartalnik Historyczny”, „Historische Zeitschrift” czy „Revue Historique” ma dawać obraz nauki historycznej w danym kraju? Ale takie pytania świadczą tylko o mojej małości. Jedlicki irytował się na „Kwartalnik”, bo stawiał mu wielkie zadania, bo wierzył w to, że ich spełnienie jest możliwe. Kiedy w latach dziewięćdziesiątych wielokrotnie pisywał mi rekomendacje przy różnych okazjach, a ja mu dziękowałem, zażenowany, że ambarasują go swoją osobą (bo w rekomendacje zawsze wkładał, jak we wszystko co robił, wiele czasu i zapału), on odpowiadał: „Panie Maćku, odwdzięczy się Pan nekrologiem w «Kwartalniku Historycznym»”.

Jerzy Jedlicki sądził, że jest powinnością inteligenta mieć zdanie w sprawach publicznych i publicznie je wyrażać. Wielokrotnie podkreślał swoją sympatię do liberalizmu — socjalnego, nie skrajnie leseferystycznego. Uważał się za człowieka lewicy i był nim z pewnością, choć jego światopogląd był skomplikowany i trudno go byłoby bez reszty przypisać jakiemuś jednemu nurtowi myślowemu. Wielokrotnie powtarzał też, że jest entuzjastą idei poprawności politycznej. Zarazem rozumiał ją w sposób specyficzny. Mówił, że poprawność polityczna to nic innego jak zasada dobrego wychowania w życiu publicznym: chodzi o nieobrażanie innych. Ale jeśli tak, to zasada ta obowiązuje lewicę w tym samym stopniu co prawicę. Jeśli nie wolno obrażać mniejszości narodowych czy seksualnych, to na tej samej zasadzie nie wolno obrażać uczuć religijnych. Jedlicki, wiedząc, że w swoim środowisku jest w mniejszości, był zdania, że przepis prawny o ochronie uczuć religijnych jest potrzebny — przy wszystkich niebezpieczeństwach jego nadużywania, z których zdawał sobie sprawę.

Mówiąc o światopoglądzie Jedlickiego, warto podkreślić jeszcze jedną sprawę: bywał ironiczny, zwłaszcza w polemikach, czasem w tej ironii niemalże okrutny. Można było odnieść wrażenie, że ta ironia jest jego sposobem rozumienia świata — ale takie wrażenie, w moim przekonaniu, byłoby z gruntu mylne. Ironiczne uwagi przychodziły mu łatwo, niemal nieświadomie, ale pozostawały, by tak rzec, na powierzchni. W istocie bowiem, kiedy mówił i pisał o sprawach dla niego ważnych, był idealistyczny i zasadniczy, często moralizatorski, czasem nawet patetyczny. Jego ironia nie była w najmniejszym stopniu wyrazem cynizmu czy nihilizmu. Widać to w jego wypowiedziach w kwestiach publicznych — przede wszystkim w sprawach narodowych, społecznych i w problematyce tolerancji i wykluczenia. Jakkolwiek staroświecko to brzmi, nie sposób uniknąć podkreślenia jego głębokiego patriotyzmu. Zgodnie z polską tradycją bardzo wyraźnie odróżniał patriotyzm od nacjonalizmu. Podkreślał znaczenie poczucia narodowego dla rozwoju jednostek. Sądził, że lewica popełnia błąd, lekceważąc znaczenie patriotyzmu i poczucia narodowego. Zarazem bardzo silnie sprzeciwiał się nacjonalizmowi. Jego działalność w stowarzyszeniu Otwarta Rzeczpospolita, jak również jego publicystyka daje temu świadectwo. W swoich pracach Jedlicki wielokrotnie zahaczał o kwestię żydowską, jednak nie stanowiła ona nigdy centrum jego zainteresowań jako historyka. Chyba dopiero wielka dyskusja nad *Sąsiadami* Grossa sprowokowała go do zajęcia się tą problematyką. W kilku tekstach bronił tej książki przed zarzutami, wskazując, że jej moralny wymiar, jakim jest odsłonięcie ukrywanej dotąd prawdy, stawia nas wszystkich przed zadaniem — właśnie moralnym, nie naukowym — reakcji na ten obraz przeszłości. Jedlicki był zdania, że ewentualne omyłki Grossa nie zmieniają zasadniczej wymowy pracy i owego moralnego wymiaru. Publicystyka Jedlickiego w tej kwestii zawiera argumenty skomplikowane i nie zawsze łatwe w interpretacji, zasługujące na dokładną analizę, na co nie tutaj miejsce — można jedynie zasygnalizować problem. Warto podkreślić, że bardzo ostro krytykując polski antysemityzm, zaproszony przez zaprzyjaźnionego amerykańskiego historyka, Roberta Blobauma na konferencję w USA, poświęconą temu problemowi, zaprezentował referat poświęcony polskim przeciwnikom antysemityzmu.

Jego stosunek do religii wart jest może krótkiego komentarza. Był zdeklarowanym ateistą — nie agnostykiem, lecz ateistą. W pierwszych latach XXI w. z wielkim zainteresowaniem czytał polemiki Heleny Eilstein z późnymi pracami Leszka Kołakowskiego, w których broniła poglądów ateistycznych, i żałował, że Kołakowski nie podjął z nią dyskusji. Zarazem rozumiał doskonale nie tylko społeczną funkcję religii, ale i jej znaczenie dla ludzi wierzących. Od czasu swej działalności opozycyjnej miał wielu znajomych i przyjaciół wśród katolików; ogromnie cenił sobie przyznany mu przez „Tygodnik Powszechny” medal św. Jerzego (2011). Kiedyś zawstydził mnie swoją znajomością encyklik społecznych Jana Pawła II. Krytyczny wobec wielu aspektów życia religijnego, bardzo daleki był od powierzchownego antyklerykalizmu.

W 2009 r. po raz pierwszy od 1946 r. nie pojechał zimą na narty. Narzekał na bóle kręgosłupa i wiosną roku 2010 zdecydował się na operację, w przekonaniu,

że pozwoli mu to zachować sprawność. Niestety operacja się nie udała i następne prawie osiem lat znaczone było narastającym cierpieniem. Przez cały ten czas nie rozstawał się ze środkami przeciwbólowymi, coraz mocniejszymi, coraz słabiej działającymi, wywołującymi coraz większe efekty uboczne, i mimo to z coraz większym bólem. Zarazem ze swoją niespożytą energią nie poddawał się, szukał coraz to nowych terapii, nie tracił wiary, że wyzdrowieje, wróci do aktywności społecznej i pracy naukowej. Jeszcze chyba w 2015 r. miałem wrażenie, że pomysłów, planów i nadziei ma tyle, że można by nimi obdarzyć kilku o wiele młodszych od niego. Kiedyś mówił, że jedną z najsmutniejszych dla niego rzeczy jest utrata starości: choroba uniemożliwiła mu spełnienie tych wszystkich planów pisarskich, jakie odkładał sobie na emeryturę. Jesienią 2015 r. został uhonorowany najwyższym polskim wyróżnieniem naukowym, Nagrodą Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej. Jego obecność i krótka wypowiedź na uroczystości przyznania nagrody była jednym z jego ostatnich publicznych wystąpień.

W drugiej połowie 2017 r. jego stan wyraźnie się pogorszył. Zmarł 31 stycznia 2018.

Jerzy Jedlicki był żonaty z Hanną Bocheńską (1923–2018). Małżeństwo było bezdzietne. Pani Hania oddziaływała na wszystkich, którzy mieli okazję ją poznać, niezwykłym urokiem osobistym, poczuciem humoru, wybitną inteligencją połączoną ze spontaniczną życzliwością. Nie sposób było jej nie lubić. Hanna Bocheńska-Jedlicka przeżyła męża o cztery tygodnie, zmarła 26 lutego 2018.

Pod opieką naukową Jerzego Jedlickiego powstały prace doktorskie: Lesława Sadowskiego, Adama Kożuchowskiego i moja. Był również współpromotorem doktoratu Timothy’ego Snydera, który wielokrotnie podkreślał znaczenie, jakie odegrał Jedlicki w jego rozwoju naukowym.

4 kwietnia 2019 r. zorganizowaliśmy z kolegami z zakładu spotkanie wspomnieniowe poświęcone Jedlickiemu, na marginesie książki opublikowanej przez Marcina Kulę. Janusz Żarnowski powiedział wówczas (sięgam do swoich notatek z zebrania) mniej więcej tak: Ludzie wybitni wyrastają ponad swoje otoczenie. Jedlicki bez wątpienia do takich wybitnych ludzi należał, przerastał swoich kolegów. Mógł powiedzieć, co podobno Piłsudski mówił swoim współpracownikom: ja widzę to, czego wy nie widzicie. Ale ci wybitni ludzie mają duży kłopot z otoczeniem: jak z nim utrzymać kontakt, żeby nie narazić się na zarzut, że jest się zarozumiałym, że się innych lekceważy. Jerzy Jedlicki radził sobie z tym bardzo dobrze. Znałem go od 1951 r. — mówił Żarnowski — ale się z nim nie przyjaźniłem, to nie był partner, z którym można mieć swobodny kontakt. Ta wypowiedź wybitnego historyka, z której biła szczerłość i bezpośredniość, zrobiła na mnie niesłychane wrażenie; chciałem z nim o tym porozmawiać, ale niestety sam Żarnowski zmarł cztery tygodnie później.

Dorobek Jedlickiego nie jest wykończony. Z żalem powtarzał wielokrotnie, że „rzeczy pilniejsze wypierają rzeczy ważniejsze”, często mówił o tekstach, których nie zdążył napisać. To wrażenie niewykończenia odczuwało wielu z jego znajomych; na piśmie dał temu wyraz Marcin Kula. Moje odczucie jest podobne;

ale jednocześnie zastanawiam się czasem, czy owo „niedopełnienie” nie jest w pewnym sensie warunkiem wybitności i znaczenia tego dorobku, który rzeczywiście powstał. Aby pisać teksty głębokie i refleksyjne, aby stawiać problemy w sposób głębszy niż inni, musiał dużo myśleć i dużo czytać — i te wszystkie szerokie lektury i przemyślenia są przecież w jego tekstach jakoś widoczne. Nie zostały one zmarnowane.

Sam Jedlicki napisał kiedyś we wspomnieniu o zmarłym w 1989 r. Tadeuszu Łepkowskim: „Takie wspomnienie powinno się konwencjonalnie kończyć tym, że nauka polska poniosła dotkliwą stratę. Ale nauka skazana jest na ponoszenie strat, a sztafeta pokoleń wszystkie w końcu straty wyrówna. Zostaną zresztą jego książki, do których przybędzie to, co pozostawił po sobie w rękopisach. Myślę więc dziś raczej o tym, jaką stratę poniósł on sam, jaką krzywdą spotkała jego. [– –] Jakże gorzko, że nie będzie mu już dane poznać dalszego ciągu tej historii, tworzyć i oglądać tę nową Polskę i nową Europę, jakie się wyłonią z obecnego przesilenia”¹⁴.

Chciałoby się pociągnąć dalej ten tok rozumowania: oczywiście, nauka polska poniosła stratę w związku z wieloletnią chorobą Jerzego Jedlickiego — chorobą, która pod koniec życia nie dała mu dokonać syntezy jego ogromnej wiedzy i przemyśleń. Ale przede wszystkim nauka polska odniosła korzyść, że w jej obrębie działał ktoś taki jak Jerzy Jedlicki. Jest bowiem zawsze korzystne dla grupy, jeśli znajdzie się w niej ktoś, kto w sposób konstruktywny, nie jałowy, podaje w wątpliwość założenia regulujące funkcjonowanie tej grupy. Pozostaje mieć nadzieję, że ten zysk zostanie dobrze wykorzystany i historiografia polska skorzysta z dorobku Jerzego Jedlickiego — z wyników, jakie uzyskał w swych badaniach, a bardziej jeszcze z problemów, które postawił.

Maciej Janowski
(Warszawa)

¹ J. Jedlicki, *Rękopis znaleziony w...*, „Tygodnik Solidarność” 29 V 1981, 9, s. 2.

² H. Świda-Ziemia, *Uchwycić życie. Wspomnienia, dzienniki i listy 1930–1989*, oprac. D. Czapięgo, Warszawa 2018, s. 143.

³ D. Czapięgo, *Przebrana partia*, „Karta” 2018, 97, s. 112–121.

⁴ Kolekcja prof. Jerzego Jedlickiego, Ośrodek „Karta”, sygn. FOK/120/3/4, k. 22–28; cyt. k. 24.

⁵ Tamże, k. 62.

⁶ K. Zienkowska, *Sławetni i urodzeni. Ruch polityczny mieszczaństwa w dobie Sejmu Czteroletniego*, Warszawa 1976, s. 133–137.

⁷ DN 8, 1976, 1, s. 15–20.

⁸ A. Koźuchowski, *Jerzy Jedlicki jako historyk XIX stulecia*, „Klio Polska” 10, 2018, s. 25.

⁹ KH 1974, 1, s. 142–160.

¹⁰ „Communist and Post-Communist Studies” 32, 1999, s. 225–232.

¹¹ Wyd. w tomiku: *Polska czyli prowincja. Cykl wykładów fundacji Centrum im. Profesora Bronisława Geremka*, Warszawa 2011, s. 7–27.

¹² L. Wolff, *Cultural Precedence and Reciprocity between Eastern Europe and Western Europe*, „East Central Europe” 41, 2014, 1, s. 105–111.

¹³ M. Kula, *Jerzy Jedlicki, historyk nietypowy*, Warszawa 2018. Książce tej poświęcony jest wart polecenia artykuł recenzyjny Joanny Schiller-Walickiej, *Jak być (zostać) dobrym historykiem*, „Kwartalnik Historii Nauki i Techniki” 64, 2019, 1, s. 159–166.

¹⁴ J. Jedlicki, [wspomnienie o Tadeuszu Łepkowskim], „Przegląd Polski”, dod. do „Nowego Dziennika”, New York, 18 I 1990, cyt. za: J. Jedlicki, *Historyk gorącego czasu*, [posłowie w:] T. Łepkowski, *Polska — narodziny nowoczesnego narodu 1764-1870*, wyd. II, Poznań 2003, s. 303–313, cyt. s. 312.